**Coś osobistego. Polityczna empatia**

Wspomnienie. Jest 10 maja 2016, 9 lat temu już. Stoimy od rana w kilka osób pod Hotelem Bristol, „trzymając miejsce” przy miesięcznicy smoleńskiej. Jest wcześnie, to jeszcze nie czas właściwej demonstracji, która odbędzie się wieczorem i też będzie bardzo nieliczna. Rano jest nas garstka, będziemy tam do wieczora pilnować, żeby nam miejsca nie zablokowali i ledwie umiemy utrzymać wielkie transparenty, które przynieśliśmy. Sam tkwię rozciągnięty naciągając dwiema rękami linki dwóch transparentów, jakby mnie ktoś ukrzyżował, unieruchomiony. Naprzeciw nas kończą się modły pod smoleńskim ołtarzykiem. Starszy pan żegna się zamaszyście, po czym odwraca się w naszą stronę i donośnie oznajmia:

„Bóg z nami, chuj z wami!”

Żałuję, że nawet nie mieliśmy jak go nagrać. Ale zaraz potem od smoleńskiego krzyża podchodzą do nas trzy panie – a jakże, w moherowych beretach! – podchodzą akurat do mnie i kolejno, jedna po drugiej spluwają mi w twarz. Są na tyle blisko, że dwie z nich trafiają. Ukrzyżowany nawet nie mam jak zetrzeć tego z twarzy. Żałuję, że nie ma nagrań tej sceny. I w gonitwie niezupełnie sensownych myśli najpierw przebiega mi przez głowę taki absurd:

„A gdyby tak jutro się okazało, że to naprawdę Tusk z Putinem zestrzelili nam prezydenta? Jak bym się wtedy czuł?”

Coś mi wtedy kliknęło we łbie i to kliknięcie już we mnie zostało. Przecież one naprawdę wierzą, że to Tusk. Są o tym absolutnie przekonane. Znam takie panie jeszcze z młodości w PRL. Lubiliśmy się. Ja wiem, że one są trudne do wytrzymania, ale wiem też, że to bardzo porządne osoby, nawet wtedy, kiedy opowiadają jakieś przeraźliwe, np. antysemickie brednie. Opluły mnie z patriotycznego obowiązku porządne kobiety. Jestem przecież dla nich naprawdę zdrajcą i naprawdę wspólnikiem morderców. Zaledwie mnie opluć to przecież miłosierna rzecz. A ja? Co ja tam robię właściwie? Tak dokładnie?

Otóż przychodzę głównie po to, żeby właśnie sfotografować je i ponagrywać w takich okolicznościach. Ja spokojny i milczący, one dzikie i nienawistne. Prowokuję tę sytuację świadomie i dobrze wiem, co sprowokuję. Robię wszystko, by im nie dać innego wyjścia. Zacząłem się wtedy wstydzić tych naszych akcji, choć one miały trwać jeszcze dwa lata. Zacząłem widzieć, że to ja robię z nich „dzicz” do pogardzania przez „naszych”.

Odtąd robiłem, co tylko mogłem, by znaleźć okazje do rozmowy z nimi. By raczej rozmowy prowokować i jakieś zrozumienie racji, bo ich racje przecież rozumiałem bez trudu. Ach, wiele razy nam się to udawało. I niemal nikt o tym nie wie. Opowiadałem wielu dziennikarzom, jak na smoleńskich mszach wymienialiśmy się naprawdę szczerym i w tej sytuacji naprawdę głębokim znakiem pokoju. Jak sponiewieranemu kilometrowymi barierkami staruszkowi pomagałem nieść smoleński krzyż, jak jakiś Szymon Cyrenejczyk, a on mi dziękował wzruszony. Jak równie poruszony staruszek obok uciszał pomstujące na mnie panie. Jak jeden z ich aktywistów bronił nas przed policją wyrzucającą nas za barierki, krzycząc „oni mają prawo tu być!” Jak się nauczyli szanować gejów i jak z odważnym gejem, Sławkiem Skorupką, ucięliśmy zwyczaj bluzgania nas od pedałów. Ani prawicowi, ani nasi dziennikarze nie chcieli tych moich opowieści. Nie nawet z powodu jakiejś „polityki redakcji”, ale dlatego, że im samym te opowieści nie pasowały do obrazu świata i do antropologii „tamtych”. W końcu jest wojna, co nie? A ja jestem jednym z żołnierzy z wysuniętego odcinka frontu walki dobra ze złem.

Obywatele RP są jedynym znanym mi środowiskiem zdolnym do tego rodzaju refleksji. Że „ciemnogrodowi” i „hołocie” należy się empatia. Że póki w smoleńskim tłumie obok politycznych gangsterów, bezideowych i cynicznie żerujących na patriotycznych mitach, na ciasno pojmowanym katolicyzmie, na fałszem podszytej, ale dla wielu szczerej narodowej żałobie – że póki tam jest choć jedna osoba, która naprawdę przeżywa żałobę, to nie wolno tych ludzi wyśmiewać happeningami ani eksponować ich „dzikości”. Że wolności, o które walczymy dla siebie, należą się również im, że kiedyś z nich skorzystają przeciw nam, jak dziś korzystamy z nich przeciw nim, więc przede wszystkim należy wyznaczyć sobie granice i ich bezwzględnie przestrzegać. Że cienia odwetu należy się wystrzegać za wszelką cenę. Że trzeba stronić od dumy kombatantów i pogardy dla innych.

Kiedy nastąpił okres pięciu minut naszej sławy, do akcji w miesięcznice dołączył tłum nowych ludzi. Krzyczał w trakcie smoleńskich modłów, od hołoty wyzywając ich uczestników, a kiedy napominaliśmy, odsyłał nas „do kruchty”. Staliśmy wtedy ze łzami w oczach, więc dobrze wiem, co mówię, kiedy twierdzę, że spośród „walczących” wówczas środowisk byliśmy jedynym zdolnym do tego rodzaju refleksji. Sporo razem przeżyliśmy, a to łączy. Ale to porozumienie – i na intelektualnym, i na etycznym poziomie – miało między nami tak intymny charakter, że wyjaśnia, jak głęboko się wszyscy przyjaźnimy, jak wielkie jest nasze wzajemne zaufanie i zdolność do polegania na sobie bez pytań. Czasem niczego o sobie nawzajem nie wiemy prywatnie. I nie trzeba nam tego wiedzieć, by sobie ufać tak bezwzględnie i tak bardzo się przyjaźnić. Dla mnie to wielki zaszczyt, że do tej grupy należę. I źródło prawdziwego szczęścia.

Piszę o tym nie po to, by sentymentalnie i jubileuszowo słodzić, ale dlatego, że nikt lepiej od nas nie wie, czym naprawdę jest polska wojna. Jak bardzo jest niszcząca politycznie, społecznie, kulturowo, jak głęboko jest niemoralna. I jak nie da się jej wygrać. Jak koniecznie trzeba dziś „rżnąć karabinem w bruk ulicy”, bo to „nasza jest krew, a ich jest nafta”. Odmówić posłuchu wojennym podżegaczom, ostudzić w sobie bitewny zapał, wypowiedzieć posłuszeństwo generałom, masowo zdezerterować. Tę wojnę przećwiczyliśmy na własnych grzbietach nie tylko w konfrontacji z wrogim tłumem i policją. Również bezwzględnie wdeptywani w ziemię przez tłum naszych. I jeszcze bardziej bezwzględnie mieleni przez naszą politykę, doświadczając cenzury, oszczerstw aktów arogancji, wstrętnej manipulacji, szukania haków itd. I wtedy, za PiS-u, i dzisiaj.

Piszę o tym dlatego, że proponujemy te kilka uchwał i działania, których znaczenie byłoby być może doniosłe, gdyby zostały potraktowane poważnie przez innych. Wtedy zaś koniecznym kręgosłupem społecznego ruchu musi być etos. „Tamci” czują na sobie łopot husarskich skrzydeł i uniesienie szarżą. A my? Klasę naszych, pożal się Boże, mężów stanu? Konstytucję? Sami ją właśnie łamiemy. Demokrację? Dla wielu to pozbawiona aksjologii technika rządzenia, w której dobrzy są cwaniacy. Najwyżej spryt możemy u siebie cenić, choć i on zawodzi u naszych rzekomo wybitnych generałów, co raz dostających łomot od nieokrzesanych kaprali z tamtej strony.

Najtrudniejszym, najpilniejszym i najważniejszym celem musi być koniec polskiej wojny. Obok wartości praw człowieka i poszanowania ludzkiej godności, obok przekonania, że każda mniejszość nie tylko ma prawa, ale również narzędzia wymuszające ich respektowanie, że mniejszość nie jest bezsilna wobec większości, obok wartości buntu i obok sprzeciwu wobec zła, obok antyfaszyzmu również wtedy, kiedy faszystowskie obrzydlistwa o hordach muzułmanów szturmujących nasze granice wykrzykują nasi przywódcy, a nasi niedawni towarzysze reagują rzęsistymi brawami, najgłębszym przejawem etosu demokratów jest właśnie głęboko empatyczne pojmowanie prawa i państwa, które dzielimy z dzisiejszymi wrogami. Pięć lat temu były wybory Dudy i wtedy jechałem szkolnym busikiem z moim niepełnosprawnym dzieckiem, by być z nim, kiedy jedzie pierwszy raz. Po drodze zbieraliśmy inne niepełnosprawne dzieci. Skondensowana piguła horroru i nieszczęścia. Stanęliśmy pod domem z plakatem Dudy na płocie. Zabraliśmy dziecko. Pomyślałem, że proszę – robimy wspólnie coś dobrego. Wracając zagadałem do tych ludzi. Powiedzieli, że tak – robimy wspólnie coś dobrego, płacąc za ten autobusik, organizując ten dowóz. Na tym polega państwo, na tym polega jego wielka wartość, po to ono jest i na tym polega wspólnota.

Piszę o tym wszystkim wreszcie również dlatego, że większość tu proponowanych uchwał ma właśnie tę wartość, że koniec polskiej wojny umożliwia. A może wręcz gwarantuje. Zwłaszcza projekt Trzeciej Izby. To jedyna szansa, by ludzie z obu wojujących stron spotkali się nie na wojennej ścieżce, ale po to, by ułożyć ze sobą wspólne życie.

Jeśli ktoś tego nie wie, jeśli jego źródłem ideowej identyfikacji jest wciąż „anty-PiS”, jeśli nie zna wartości „politycznej empatii”, jeśli nie wie, że wojenna tożsamość prowadzi do klęski w katastrofie, niech zaufa wojennemu doświadczeniu Obywateli RP. Nie jesteśmy ani unikalnie dobrzy i empatyczni, ani unikalnie mądrzy. Los sprawił za to, że mamy mnóstwo unikalnych doświadczeń i dlatego wiemy coś, czego nie wiedzą inni. Dobrze wiem, co mówię, twierdząc, że z pewnością warto nas wysłuchać z uwagą.